

LUBELSKIE
HOSPICJUM
DLA DZIECI
im. Małego Księcia

BEZPŁATNY INFORMATOR LUBELSKIEGO HOSPICJUM DLA DZIECI IM. MAŁEGO KSIĘCIA

Mały Książę

www.hospicjum.lublin.pl

Nr 2 (52) 2023



W numerze
między innymi:

- ★ Bóg nie daje chorego dziecka ludziom słabym...
- ★ Sięgając nieba dla dzieci z lubelskiego hospicjum
- ★ Rehabilitacja w Domu Małego Księcia
- ★ Jestem człowiekiem, mamą, babcią i lekarzem





→ O. DR FILIP LESZEK BUCZYŃSKI
Prezes Lubelskiego Hospicjum
dla Dzieci im. Małego Księcia



TYTUŁEM WSTĘPU

CIEPLUTKO I ŚWIĄTECZNIE...

**Witam Was na stronach naszego Informatora.
Kończy się rok, więc odrobinę podsumowań.**

Zdecydowanie przybyło nam pacjentów, co wiążemy oczywiście z napływem dzieci wymagających opieki paliatywnej z Ukrainy. Mam wrażenie, że sprościliśmy temu wyzwaniu i realizujemy nad nimi opiekę tak samo jak nad polskimi Podopiecznymi. Wzruszającym było, gdy rodziny ukraińskie, tak zresztą jak polskie, w czasie wakacji skorzystały z możliwości odpoczynku. Wy byliście tego sponsorami, bo zbieracie dla nas nakrętki, a wyjazd w całości finansowany był z ich sprzedaży. Przy okazji ogromne podziękowania dla strażaków, którzy pomagali przy załadunku tychże dziesiątek ton polipropylenu. Fantastyczna akcja, a pieniądze, dosłownie, leżą na ziemi.

Jestem pytany, czy przewiduję jakieś zmiany w traktowaniu opieki paliatywnej przez nowy rząd. Odpowiadam, jak zawsze, że choroba, umieranie i śmierć są ponadwyznaniowe i opierają się na wartościach humanistycznych, a nie religijnych. Stąd pomoc hospicjom udzielana przez władzę, jakkolwiek by ona była, jest wpisana w wymiar opieki medycznej, a ta, a właściwie jej polepszenie, było na ustach wszystkich partii startujących w wyborach. Trzymam więc za słowo. Jest jednak pewna obawa, bo przecież wyborcze stwierdzenie „Nikt ci tyle nie da, co ja ci mogę obiecać” nieraz sprawdzało się w przestrzeni życia publicznego. Czas pokaże.

W informatorze poznać Państwo niesamowite, często bardzo wzruszające historie naszych pacjentów i ich rodzin. Dla mnie, czego i Państwu życzę, poznawanie tych historii staje się okazją do okazania podziwu dla tak niezłomnych rodzin, do chęci dalszego im pomagania i wreszcie do weryfikacji wagi własnych „dramatów”, które stają się jakoś mniejsze, możliwe do rozwiązania czy naprawy, nawet jeśli miałoby to zająć trochę czasu.

Dziękuję za przekazany 1,5% Waszego podatku. Pomoc bardzo wytrzymała, ale w istocie bezcenna, bo przecież trudno zważyć czy zmierzyć dobroć człowieka. Dziękuję i życzę zdrowia oraz wszelkiego dobra na równych i wyboistych drogach Państwa życia.

O. Filip Buczyński

Mały Książę

INFORMATOR
LUBELSKIEGO
HOSPICIUM
DLA DZIECI
IM. MAŁEGO KSIĘCIA

Na okładce: Zosia i Staś
(podopieczni LHD)



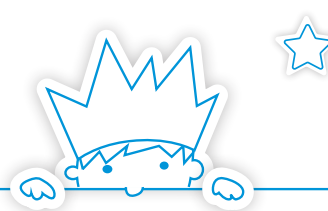
Adres redakcji: 20-828 Lublin, ul. Łędzian 49
tel. 81/53 71 365, fax 81/53 71 396
www.hospicjum.lublin.pl
hospicjum@hospicjum.lublin.pl
facebook.com/hospicjummalegoksiecia

Numer KRS: 000 000 4522
Numer konta bankowego: Bank Millennium S.A.
03 1160 2202 0000 0000 6017 6058

Projekt graficzny, skład i ilustracje: Agnieszka Sulimierska
Druk: Drukarnia Magic



PROGRAM
FINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW
BUDŻETU
MIASTA LUBLIN



Mały Książę

ROZMOWA

Bóg nie daje chorego dziecka ludziom słabym...

Z Panią Katarzyną, mamą
naszych Podopiecznych
Zosi i Stasia, **rozmawia**
Bartłomiej Jasiocha,
psycholog LHD

**Rozmowę może zaczniemy trochę
niestandardowo. O co – w kontekście
waszej rodziny – powinienem panią
zapytać na początku?**

Hmm... Nie wiem. Jak nam się żyje, jak
nam jest?

Ok. To jak wam jest?

Dobrze, dobrze nam się żyje. Są dni lepsze i są dni słabsze. Są dni załamania, są dni radości. Tak się to przeplata. Wiele jest spraw i emocji, ale mimo to jest dobrze.

**Nam się żyje dobrze. Nam to znaczy
komu? Przedstawmy Czytelnikom
waszą rodzinę.**

Ja – mama, mąż Piotr, Zosia i Staś.

Ile znamy się już lat?

Siedem... chyba, siedem i pół. Poznaliśmy się, jak Staś miał półtora roku.

Jak to się wszystko zaczęło?

Najlepiej jak opowiem historię Stasia.
– Staś był bardzo chcianym dzieckiem.
W połowie ciąży dowiedzieliśmy się, że przyrost wagi i długości jest przyblokowany. Na początku zbytnio się tym nie przejmowałam. Myślałam, że przecież rodzą się dzieci kilogramowe i mniejsze, i później wyrastają na superzdrowe maluchy i mogą funkcjonować normalnie, jak rówieśnicy. Jednak w naszym przypadku było inaczej. W dwudziestym ósmym tygodniu ciąży okazało się, że Stasio ma jedną nóżkę krótszą, drugą dłuższą, iż przyrost ciała nadal stoi w miejscu i dostałam skierowanie do szpitala. Tam przeleżałam prawie siedem tygodni. W momencie gdy zaczynało Stasiowi zanikać tętno, to poród Stasia był szybki, wręcz ekspresowy – przez cesarskie cięcie. Urodził się z wagą 1180 g, był maleńki – 35 cm.



→ NASZE DZIECI Zosia i Staś

Po urodzeniu przyrost jego ciała był nadal mały, nie rósł. Ilość badań, kontroli, tego wszystkiego, co się wtedy działo, zdominowało nasze życie. Mimo tego nie mieliśmy jasnej diagnozy. Wiadomo było, że występuje u niego niskorosłość, jest zahamowanie i w ciąży, i po urodzeniu. Stasio został zdiagnozowany dopiero, jak pojawiła się Zosia. Przyczyna była dość prozaiczna – to bardziej Zosią zainteresowali się lekarze – wykonano badania genetyczne, o które w przypadku Stasia nie było tak łatwo. Gdy otrzymaliśmy dokument potwierdzający

diagnozę, to dopiero na nowo rozpoczęła się procedura diagnostyczna Stasia. Przez 5 lat, gdy ktoś nas pytał, jakie jest rozpoznanie u Stasia, to nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. Doświadczaliśmy wielu przykrych chwil z tego powodu, ludzie dziwnie na to reagowali: „No, jak to, matka może nie wiedzieć, na co chore jest jej dziecko?”, „No nie wiem. Lekarze nie wiedzą i ja też nie wiem”. To było trudne.

Pierwotna karłowatość typu II. Jest to bardzo rzadka choroba. Nie bardzo można z nią coś zrobić. Można próbować

podawać hormon, ale jego działanie nie jest takie samo, jak na organizm nieobarczony tą mutacją genu. Ani leki, ani jakaś operacja nie wyleczy dziecka z tej choroby. Oni po prostu tacy są.

Staś trafił pod opiekę hospicjum ze względu na to, że miał rurkę tracheotomiijną?

Tak. W wyniku silnego zapalenia płuc, gdy Staś trafił do szpitala i niewydolność oddechowa narastała, lekarze podjęli decyzję o założeniu rurki, żeby go ratować. Wtedy spotkałam panią doktor Rafalską, która przyjechała do szpitala, żeby nas poznać. Tak zaczęła się przygoda z nami.

A początki tej przygody...?

W ogóle początki Stasia z rurką tracheotomiijną były trudne... Nie to, że się bałam, bo jestem taka, że staram się mierzyć z przeciwnościami. Tylko mieszkaliśmy wtedy w niewielkim miasteczku i przyznaję się do tego, że gdy wychodziliśmy na dwór ze Stasiem, to mu tę rurkę delikatnie zakrywałam, jakąś chustką, apaszką. Nie chciałam, żeby był wytykany. Dopiero po jakimś czasie nie miało to dla mnie znaczenia, co pomyślą inni. Pomogły mi w tym zajęcia z wczesnego wspomagania rozwoju, na które uczęszczał Staś. Tam miałam okazję rozmawiać z panią psycholog. Przy niej zrozumiałam, że mogę nie spuszczać głowy, gdy ktoś Stasia wytyka palcem. Mam prawo zareagować, mogę się odezwać, a nie przechodzić obok, znosić czyjeś szept, wzrok, w którym tak wiele różnych uczuć można zobaczyć... Albo szturchanie mnie: „A czego on taki mały? Czego tak wygląda?”. Grupka osób zerkająca i szepcząca, która po chwili wybucha śmiechem. Gdy pytam: „Czy w czymś państwu pomóc, czy na coś odpowiedzieć?”, to się pojawia bordowa buzia i odwracają się plecami. Teraz reaguję adekwatnie, a więc czasem emocjonalnie i z nerwami. To jest przykre, ale nie mamy na to wpływu, jak ludzie się zachowują. Trzeba nauczyć się z tym żyć. Cieszę się, gdy spotykam ludzi, którzy pytają o naszą sytuację z życzliwością, z zainteresowaniem.

Choroba dziecka jest też jakimś kolejnym powodem czy napędem do tego, żeby samemu dojrzewać i się zmieniać...

Takie postawienie nas w sytuacji sprawdzającej, ile jestem w stanie wytrzymać, z czym sobie jeszcze poradzę. Moja babcia kiedyś powiedziała: „Bóg nie daje słabym ludziom chorego dziecka, takiego krzyża”. Nie wiem, czy coś w tym jest, bo my jako rodzice mamy wiele sił, by sobie radzić, ale to one chorują, cierpią, nie my.



→ ZOSIA I STAŚ Wakacje 2023



→ MASZA I HULK

Staraliśmy się robić wszystko, by było im dobrze i łatwiej. By życie było lepsze, a dzieciństwo normalne, ale są rzeczy, których nie da się przeskoczyć, których nie możemy zmienić czy wyeliminować.

Ile lat miał Staś, gdy urodziła się Zosia?
Sześć.

Przez 4,5 roku przyjeżdżaliśmy do Państwa odwiedzając Stasia, później pojawiła się Zosia, która teraz również jest pod naszą opieką. Niestety, gdy się urodziła, akurat panował COVID.

To był początek pandemii, gdy były największe obostrzenia. Dopóki byłam w szpitalu, byliśmy razem. Ale po porodzie wyszłam ze szpitala, a Zosia pozostała. To były straszne dwa miesiące. Rozłąka, bez odwiedzin. Nawet mleka nie mogłam jej przekazać, bo był zakaz. Przeszliśmy przez to, ale jakim kosztem...

Takich bardzo rudnych okresów było więcej?

Tak, ze Stasiem. Gdy był w Centrum Zdrowia Dziecka, po założeniu gastrostomii Staś zatrzymał się na moich oczach i był reanimowany. Albo zabieg zakładania rurki – bardzo się tego bałam, byłam w tej sytuacji sama – mąż wyjechał za granicę, by dorobić. Oprócz tego były jeszcze ze dwa momenty, gdy Stasiowi tak bardzo spadała saturacja, że dusił się, mimo rurki. Wtedy karetka i szpital. Gdyby nie jedna pani doktor z dziecięcego szpitala, to Stasia już by z nami pewnie nie było. Samodzielnie pomagała Stasiowi oddychać poprzez ambu, gdyż okazało się, że był podłączony do butli tlenowej, w której nie było tlenu... I panie tego nie wiedziały. To były straszne momenty. Nie mam słów, by opisać, jak to przeżywaliśmy, co z nami się działo...

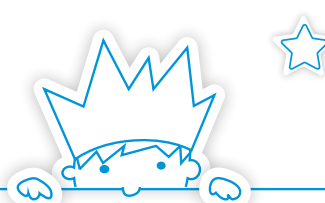
Co zmieniła opieka hospicjum?

Dużo. Bardzo dużo. Pomoc medyczna – wiadomo – lekarska, pielęgniarska na bardzo wysokim poziomie. To jest ogrom wsparcia, które otrzymujemy od was. To daje taki spokój, że ja mogę zadzwonić, powiedzieć pani doktor, co się dzieje i otrzymuję poradę, wizytę lub kontrolę. Nawet telefonicznie, gdy słyszymy, co zrobić, co podać, stan zdrowia dzieci jest monitorowany, a one mogą być w domu. Możemy liczyć na wsparcie psychologiczne, częste rozmowy, wizyty, badania – nie spodziewałam się, że jest takie miejsce, które pomaga dzieciom w takim stanie.

Co najbardziej zaskakuje w hospicjum?

Wasza dobroć (wzruszenie). To niesamowite, że od obcych ludzi można otrzymać taką bezinteresowną pomoc i wsparcie. To wiele znaczy, gdy zespół medyczny przyjeżdża do nas na wizytę z uśmiechem na twarzy. Jesteście pełni ciepła.

Korzystacie z wyjazdów wakacyjnych? Czy pani odpoczywa w trakcie takiego wyjazdu?



→ DOMOWY PLAC ZABAW Wspólna zabawa Zosi i Stasia

Wyjazd na odpoczynek to wspaniała sprawa. Dbamy, żeby była z nami dodatkowa osoba, która pomaga nam przy opiece nad dziećmi. Jest to taki czas dla nas, dla rodziny, oderwanie się od codziennej rutyny. Bardzo lubimy wyjazdy z naszymi dziećmi.

Ja wygląda dzień z dwójką tak wyjątkowych dzieci?

Zosia i Staś są dziećmi chorymi, potrzebują pomocy drugiej osoby, ale wbrew pozorom codzienne funkcjonowanie nie jest aż takie trudne. Staś już jest na tyle dużym chłopcem (wiekowo), że potrafi ładnie się bawić, zjeść, potrzebuje pomocy w niektórych czynnościach. Zosia jest dzieckiem bardzo wesołym i chętnym do zabawy. Obydwoje chodzą do przedszkola, gdzie przebywają z innymi dziećmi, mają czas zatęsknić za rodzicami i widać, że to dobrze wpływa na ich rozwój.

A jak pani radzi sobie z monotonią?

Hmm, bardzo różnie... Są takie dni, że przytłacza mnie schemat dnia codziennego, ale to zdarza się rzadko. Myślę, że takie momenty mają wszyscy rodzice, zarówno dzieci zdrowych, jak i chorych.

Co powinno się mówić mamie chorego dziecka?

Otoczenie bardzo często gubi się i nie wie, jak ma się zachować w trudnej sytuacji, co powiedzieć... Ludzie chcą pomagać, ale nie wiedzą, w jaki sposób mają o to zapytać, jakich użyć słów, by nie sprawić przykrości. Warto pytać wprost: Jak sobie radzisz? Czy chcesz porozmawiać? Czy w czymś ci pomóc? (i to nawet nie w kontekście opieki nad dziećmi, tylko jak czuje się rodzic).

Co jest najtrudniejsze w przyjmowaniu pomocy?

Kiedyś miałam z tym spory problem. Staś ma rurkę tracheotomiijną i wiem, że to wywołuje lęk, żeby ktoś z nim został. Ja to rozumiem i z tego względu nie prosiłam o pomoc, dawałam sobie radę sama. Z drugiej strony myślałam o tym, że miło by było, gdyby ktoś zaproponował pomoc, a ja w tym czasie mogłabym zrobić potrzebne zakupy do domu. Teraz się nauczyłam prosić i otworzyłam się na pomoc dzięki wsparciu psychologicznemu.

Jaki jest Staś?

To bardzo żywiołowy chłopiec, mimo tego wszystkiego, co przeżył. Często się uśmiecha i mogę powiedzieć, że jest szczęśliwym chłopcem. Staś coraz bardziej rozumie, że nie potrafi chodzić, nie umie biegać, nie może pograć w piłkę tak jak inne dzieci, ale robimy wszystko, żeby jego życie było szczęśliwe. Jedną z ulubionych zabaw Stasia jest zabawa w

chowanego, zawsze musi przywitać się z zespołem medycznym, który przyjeżdża na wizytę. Lubi oglądać i naśladować różnych bohaterów z bajek.

A jaka jest różnica między dziećmi?

Porównując ich stan na danym etapie rozwoju, to Zosia jest słabsza fizycznie, zaczęła raczkować w wieku 3,5 lat, a Staś radził sobie, mając 1,5 roku. Zosia wydaje się być silniejsza emocjonalnie, może przez to, że rzadziej przebywała w szpitalu i nie miała tak dużej ilości zabiegów jak jej brat.

Dylematy – co dalej...?

Nie poddajemy się na tyle, na ile możemy, pomagamy naszym dzieciom, ale przy tej chorobie to nie jest kwestia zebrania pieniędzy i kupienia drogiego leku... Trzeba się cieszyć z każdego dnia, który jest nam dany.



→ POGAWĘDKA z O. Filipem

SIĘGAJĄC NIEBA dla dzieci z lubelskiego hospicjum



→ UCZESTNICY WYPRAWY



Kiedy słyszymy o Alpach, pewnie większość z nas pomyśli o Mont Blanc, najwyższym szczycie tych gór i drugim wierzchołku Europy. Kiedy ktoś zapyta o górę kojarzoną ze Szwajcarią, część wskaże Matterhorn, górę symbol, która jeszcze do niedawna widniała na opakowaniach znanej „piramidowej” czekolady. **A kto słyszał o Dufourspitze?** Podejrzewamy, że niewielu.

Pozwólcie zatem, że zabierzemy was w pewną górską podróż, którą mieliśmy okazję przeżyć w sierpniu tego roku. Mamy nadzieję, że nasza opowieść was zainteresuje i zainspiruje do łączenia własnych pasji z pomaganiem.

Jesteśmy grupą przyjaciół – Agata, Iwona, Wiola i Marcin, i chociaż dzielą nas setki, a nawet tysiące kilometrów, znajdujemy czas na wspólne górskie wędrówki i wspinarie. Od kilku lat realizujemy projekt Korony Europy, zdobywając najwyższe szczyty kolejnych krajów naszego kontynentu. Na naszej liście osiągniętych celów znajdują się już m.in. Mont Blanc (4810 m n.p.m. i 4748 m n.p.m.), będący najwyższym szczytem Francji i Włoch, a do korony trzeba na niego wejść z obu krajów, Grossglock-

ner (3798 m n.p.m.), który jest najwyższą górą Austrii, Zugspitze (2962 m n.p.m.), dominujący w Alpach Bawarskich i jednocześnie najwyższy szczyt Niemiec, Triglav (2864 m n.p.m.), położony w Alpach Julijskich, najwyższy szczyt Słowenii.

W tym roku naszym celem był wspomniany Dufourspitze, którego wysokość to 4634 m n.p.m. Dufour, jak potocznie przyjęło się mówić na tę górę, to najwyższy szczyt Szwajcarii i masywu Monte Rosa, trzeci co do wysokości wierzchołek Alp (zakładając, że dwa pierwsze miejsca przypadają wierzchołkom Mont Blanc od strony włoskiej i francuskiej).

Postanowiliśmy zadedykować ten szczyt Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia w Lublinie i metaforycznie sięgnąć po kawałek nieba dla podopiecz-

nych tego wyjątkowego miejsca. Celem szczegółowym było uzbieranie kwoty na wyposażenie Sali Doświadczania Świata.



DZIEŃ 1 | W drodze do Szwajcarii

Wspólnie ustaliliśmy, że dziewczyny ruszą autem z Wrocławia, a Marcin przyleci samolotem z Londynu do Genewy i później pociągiem do Zermatt. Warto tutaj dodać, że Zermatt to takie trochę nasze Zakopane i podobnie, jak w przypadku naszej stolicy Tatr, ceny również potrafią doprowadzić do zawrotu głowy. Jednak w odróżnieniu od często zakorkowanego Zakopanego w Zermatt jest luzno, bo do miasta nie można wjechać samochodem spalinywym. Chcąc dostać się do Zermatt, auto

najczęściej zostawia się w położonej około 5 km od miasta miejscowości Täsch. My wybraliśmy to miasteczko również z uwagi na dobrze wyposażony camping. Jest on położony między dwiema stacjami kolejowymi, a najszybciej do Zermatt można dotrzeć pociągiem, który jeździ co 20 minut.

Droga do Täsch przebiegła spokojnie, chociaż dłużej, niż zakładaliśmy. Krótka drzemka w nocy przedłużyła się do 4 godzin, ale bezpieczeństwo jest przecież najważniejsze. Górskie krajobrazy w Szwajcarii również nie ułatwiały zadania, bo parę razy był przymusowy postój na „ochy”, „achy” i zdjęcia. Ciekawym rozwiązaniem, na które się zdecydowałyśmy, było skrócenie drogi przed przełęczą Furkapass i skorzystanie z pociągu dla samochodów. Uprzedzamy przyszłych zainteresowanych tego typu udogodnieniami, że na widoki nie ma co liczyć. Nastawione pozytywnie na nową przygodę, wjechaliśmy na platformę. Podczas jazdy silniki aut muszą być wyłączone. Zastosowałyśmy się do tego i otworzyłyśmy okna, żeby móc zrobić ciekawe zdjęcia tych wspaniałych widoków na góry. Kilka set metrów po ruszeniu składu pociąg wjechał w tunel. Jechał przez kolejne 20 minut, a pęd powietrza, który dostawał się do środka prawie urywał nam głowy. Uśmiełyśmy się bardzo, a na głowy zawiązałyśmy turbany z ubrań, które miałyśmy w środku. Nasza rada – nie otwierajcie okien, korzystając z tego pociągu ;)

15 sierpnia po południu żeńska część ekipy dotarła na camping, gdzie od kilku godzin okolicy zwiedzał już Marcin. Rozbiliśmy namioty w pobliżu wiaty, bo nic nie integruje tak, jak wspólne posiłki. To było nasze pierwsze spotkanie od lutego, kiedy na kilka dni wybraliśmy się wspólnie w zimowe Tatry. Będąc już tak blisko celu, pojawiały się w naszych rozmowach różne scenariusze. Prognozy pogody każdego dnia pokazywały zmianę i musieliśmy założyć, że do próby zdobycia Dufourspitze może w ogóle nie dojść.

Tego wieczoru położyliśmy się wcześniej spać, bo zmęczenie całonocną podróżą dało nam się we znaki, ale wieczorny deszcz, który uderzał w poły tropiku, długo nie pozwolił nam zasnąć. Na szczęście poranek powitał nas słońcem, co pozytywnie nastawiło zespół do rozpoczęcia się przygody.



DZIEŃ 2 | W drodze do schroniska Monte Rosa

Wyzwaniem takich wypraw jest odwieczne pytanie: „Jak się spakować, skoro wszystko



→ KORONA EUROPY



jest potrzebne?” i o ile bagażnik samochodu pomieści wiele, to jednak w góry plecaki noszą już nogi i ramiona. Gdyby tamtego ranka przypadkowa osoba obserwowała nasze pakowanie, uznałaby je za kwintesencję chaosu. Lato, słońce, a wokół nas kurtki puchowe, raki, czekany, lina, sprzęt wspinaczkowy, śpiwory, kuchenki, posiłki

liofilizowane, żele energetyczne i dziesiątki batonów proteinowych.

O godzinie 9 ruszyliśmy z campingu niczym wielbłądy, z ustaleniem, że linę, która waży około 3,5 kg, będziemy przekazywać kolejnej osobie co 1,5 godziny.

Sprawnie docieramy do Zermatt i odnajdujemy właściwą stację kolejki górskiej



→ UCZESTNICY WYPRAWY: Wiola, Iwona, Agata i Marcin



→ NA SZCZYCIE

w kierunku Gornergrad. Szybko kupujemy bilety w automacie, bo do jej odjazdu zostało zaledwie kilka minut. Bilet umożliwia dowolne wysiadanie i wsiadanie w ramach 5 stacji. Niestety, my musimy trzymać się planu i wysiadamy na stacji Rotenboden, skąd po krótkiej przerwie na toaletę i zdjęcia ruszamy w kierunku schroniska Monte Rosa.

Początek szlaku wiedzie trawersem góry na szczycie, gdzie znajduje się górna stacja kolejki. Po prawej stronie w całości okazałości możemy podziwiać lodowiec Grenz. Niestety, już gołym okiem widać, jak bardzo go ubyło na przestrzeni ostatnich lat. Chwilę rozmawiamy o tym, jak ocieplenie klimatu wpływa na środowisko naturalne i czego już nie zobaczą przyszłe pokolenia. Z tą smutną refleksją ruszamy dalej i po około godzinie docieramy do kolejnego lodowca – Gorner, który będziemy przechodzić. Jest chwila na zjedzenie batonika, przekazanie liny kolejnej osobie i ubranie raków. Strome podejście lodowcem daje się we znaki. Na szczęście na początku sezonu szlak został dobrze

oznaczony i co kilkadziesiąt metrów z lodu wystają tyczki, które wskazują bezpieczny kierunek przejścia. Przechodzimy wzdłuż kilku szczelin, które są przestrożą, że nawet na tak dobrze oznaczonej trasie trzeba być skupionym. Mimo tego pokonanie lodowca idzie nam dość sprawnie, a niosący linę „tragarz” przekazuje ją kolejnej osobie.

W oddali widać schronisko Monte Rosa, które wydaje się być już w zasięgu ręki, ale to mylne wrażenie, bo do pokonania został jeszcze kawał drogi. Chwila oddechu i przed nami niekończący się etap po skałach. Zmęczenie daje się już we znaki, a chwilę grozy przeżywamy, kiedy Wiola pokonując niewielki wodospad, upada i ratuje się, wystawiając przed siebie ręce. Na łokciu widoczne jest otarcie, ale daje znać, że boli ją nadgarstek, który ucierpiał podczas próby podparcia. Agata szybko wyciąga z plecaka spray chłodzący na urazy i spryskuje Wiolę rękę. Obserwujemy chwilę, czy nadgarstek zacznie puchnąć oraz czy będzie mogła nim ruszać. Pojawia się kilka niecenzuralnych słów, ale zaprawiona w boju Wiola informuje, że ruszamy

dalej. Krok za krokiem poruszamy się do przodu, góra, dół, klamry, liny poręczowe, a końca nie widać. Kiedy zza kolejnego wzniesienia wynurza się fragment konstrukcji schroniska, możemy odetchnąć i na spokojnie sprawdzić rękę Wioli.

Warto tutaj wspomnieć nieco więcej o samym schronisku Monte Rosa. Położony na wysokości 2883 m n.p.m. futurystyczny budynek jest przyjazny środowisku i może pomieścić aż 120 osób. Wodę pozyskuje z topniejących lodowców, a dzięki zastosowaniu nowoczesnych rozwiązań 90% zapotrzebowania na energię pokrywa samodzielnie. Pysznic jest niejako luksusem, bo skorzystanie z niego to wydatek 5 franków szwajcarskich. Litr wody butelkowanej jest jeszcze droższy i kosztuje 9 franków, czyli prawie 43 zł.

Po zameldowaniu okazało się, że w naszym 8-osobowym pokoju jest jeszcze dwójka Polaków, którzy wyjście na atak szczytowy zaplanowany mają na najbliższą noc. Cieszymy się, bo to szansa na omówienie trasy na świeżo z pierwszej ręki. Siedzimy wspólnie w jadalni i rozmawiamy o naszych dotychczasowych „górskich” osiągnięciach. Na poznawaniu nowych ludzi i wspomnieniach górskich przygód mija nam wieczór. Ekipy planujące atak szczytowy tej nocy zacierają powoli do pokoi. Uczciwie zostaliśmy ostrzeżeni, że jeden z nowo poznanych rodaków chrapie, co może wpływać na komfort spania całego pokoju, ale taki już los rezydentów pokoiów wieloosobowych.



DZIEŃ 3 | Wyjście aklimatyzacyjne

Poranek przywitał nas ładną pogodą, idealną na zaplanowane tego dnia wyjście aklimatyzacyjne. Z tarasu schroniska roztacza się piękny widok na lodowiec i charakterystyczny wierzchołek Matterhornu. To góra, o której marzy większość wspinaczy.

Rano umawiamy się jeszcze na nagranie krótkiego filmiku z pozdrowieniami dla hospicjum i ruszamy w górę. Chcielibyśmy wejść na poziom około 4000 metrów, ale mamy świadomość, że to ponad 1100 metrów przewyższenia ze schroniska, co jest dużą różnicą. Ostatecznie ustalamy, że priorytetem jest zapoznanie się z lodowcem Monte Rosa, który uchodzi za jedno z największych wyzwań podczas wspinania na Dufourspitze. Trudność przejścia tego lodowca wynika z jego niestabilności oraz bardzo głębokich szczelin. Dostępne i wymieniane między alpinistami trasy po tygodniu przestają być aktualne, a mamy świadomość, że

podczas ataku szczytowego będziemy pokonywać ten odcinek nocą.

Początkowo trasa prowadzi skalistym szlakiem, który jest oznaczony tyczkami, strzałkami lub charakterystycznymi w górach kamiennymi kopczykami. Humory dopisują całemu zespołowi i bez problemu posuwamy się naprzód. Robimy krótką przerwę na musy owocowe i batoniki. Wypatrujemy już początku lodowca, bo pomimo lekkich obaw, to ciekawość bierze górę.

Wkrótce docieramy do dużego głazu, pod którym dwójka alpinistów zwija linę. Rozmawiamy z nimi chwilę odnośnie do trasy i jednocześnie zakładamy raki, uprząże i szpej osobisty. Grupę prowadzi Agata, a kolejne osoby przejmują zestawy szczeplinowe na wypadek wypadnięcia do jednej z nich. Tutaj nie ma już żadnych oznaczeń i musimy polegać na własnej intuicji i trasie wgranej do zegarków od alpinistów, którzy już ją pokonali. Głębokie szczeliny robią na nas ogromne wrażenie. Z wielkim szacunkiem pokonujemy kolejne trudności, ale mamy świadomość, że poruszamy się bardzo powoli. Za dnia wszystkie niebezpieczeństwa są widoczne bardziej niż mniej. Oczami wyobraźni widzimy już tę trasę nocą, co trochę nas niepokoi.

Na prawo od nas, w oddali, widzimy ekipy wracające ze szczytu. Postanawiamy się wycofać z przestrzeni, która wygląda jak beza Pavlova po upadku i zawrócić w kierunku schodzących. Chwilę z nimi rozmawiamy i ruszamy dalej. Jesteśmy na wysokości około 3500 m, a to wciąż mało. Na tym odcinku lodowiec wygląda już bezpieczniej i można go pokonywać między szczelinami.

Na nasze nieszczęście zaczyna padać grad, a po chwili deszcz. Chwilę rozmawiamy i postanawiamy zawrócić. Pod głaz, z którego ruszaliśmy na lodowiec, docieramy już w strugach deszczu. Ograniczona ilość zabranych rzeczy przekonywa nas, że jeżeli teraz przemokniemy, to nie uda nam się wysuszyć ubrań do nocnego ataku szczytowego. Lokalny przewodnik z klientem robią nam miejsce pod kamiennym daszkiem, a my wciskamy się tam niczym mieszkańcy Tokio do metra w godzinach szczytu (kto był, ten wie, o co chodzi). Ruszamy w drogę powrotną do schroniska.

Z jednej strony cieszymy się, że udało się przejść najtrudniejszy fragment lodowca i wiemy, w którym kierunku mamy zmierzać podczas nocnego ataku szczytowego, ale z drugiej strony mamy świadomość, że osiągnięta wysokość jest dość niska. Czy to wystarczy?

W drodze powrotnej znowu świeci słońce, co potwierdza już dobrze nam



→ NA TRASIE trzeba być skupionym

znaną z doświadczenia obserwację, że w górach prognozy pogody żyją swoim własnym życiem. W schronisku trafiamy na naszych rodaków z pokoju, którzy koszmarnie zmęczeni dochodzą do siebie. Ich pierwotny plan zakładał sprawni atak szczytowy, szybkie zejście do schroniska i powrót do kolejki. Życie napisało jednak inny scenariusz, bo chociaż udało im się wejść na Dufourspitze, to wcale nie tak szybko, a zmęczenie uniemożliwia im dalszą drogę. Ma to swoje plusy, bo z pierwszej ręki mamy informacje o aktualnych warunkach i trasie na szczyt.

Postanawiamy spakować się wcześniej, żeby uniknąć nocnego zamieszania w pokoju i potencjalnego obudzenia innych, a następnie wystawiamy nasze plecaki na korytarz. Zaplanowaliśmy wyjście o 1 w nocy, dlatego trzeba położyć się wcześniej spać, co wcale nie jest takie proste z uwagi na ciągle wchodzące i wychodzące z pokoju osoby.



DZIEŃ 4 | Atak szczytowy na Dufourspitze

Za pobudkę grupy odpowiedzialna jest Iwona, której budzik jedynie cicho wibruje, ale dla niej to wystarcza. Wstaje cicho i każdego delikatnie chwytając za ramię, dając znać, że, niestety, koniec spania. Staramy się dbać o komfort snu innych współlokatorów, czego nie możemy powiedzieć o zmęczonym koledze z Polski, który chrapie niczym niedźwiedź w trakcie snu zimowego.

Nasze rzeczy czekają już na zewnątrz, więc od razu kierujemy się na korytarz. Schodzimy na dół do pomieszczenia, gdzie standardowo w takich schroniskach zostawia się sprzęt alpinistyczny. To tam wiszą liny, raki i czekany, a buty mogą bezpiecznie dla mieszkańców uwalniać swoje zapachy. Szybko odpalamy kuchenki i gotujemy wodę na kawę oraz do zalania śniadaniowych liofilizatów, o ile chwilę po północy można w ogóle mówić o śniadaniu.

Nad nami piękne, gwiazdzone niebo. Uznajemy to za dobry znak i ruszamy

w górę. Początkowo idzie nam bardzo dobrze. Trzymamy się szlaku zapisanego w dniu poprzednim, ale chwila mniejszej czujności i wchodzimy w dość trudny teren, którego na pewno nie pokonywalibyśmy w trakcie wyjścia aklimatyzacyjnego. Zatrzymujemy się i sprawdzamy, co pokazują nasze zegarki. Niestety, zesłaliśmy ze szlaku i musimy się trochę cofnąć, a później odbić w prawo. Tracimy na tym kilkanaście minut, ale ostatecznie dochodzimy do początku lodowca.

Tym razem prowadzić będzie Marcin, a kończyć Agata. Klarujemy linę i robimy niezbędne węzły. Iwona i Wiola wpinają się w środek, a resztę liny nawijają na siebie pierwsza oraz zamykająca grupę osoba. Ruszamy stromo pod górę, mocno wbijając raki w lodowe podłoże. Zerkamy hen daleko, w kierunku schroniska, i widzimy małe świecące punkciki, które oznaczają, że inne ekipy również ruszyły na szczyt. Już od początku orientacja w przestrzeni sprawia nam problemy. Staramy się iść zgodnie w wczorajszym zapisem trasy, ale co chwilę drogę utrudniają nam szczeliny, które musimy obchodzić. Zajmuje to cenny czas, a przez to tracimy również cenne siły. Mam wrażenie, że lodowiec ciągnie się i ciągnie. Po wejściu w bardziej stabilny teren robimy 3-minutową przerwę na batoniki i żele energetyczne. Przed nami monotonna droga pod górę, a utrzymujące się jeszcze ciemności nie poprawiają atmosfery. Jest ciężko. Nikt nic nie mówi, żeby nie tracić cennej energii, ale co jakiś czas pada jedno słowo „STOP”, czyli 20 sekund na złapanie oddechu i ruszenie dalej. Czas bardzo się dłuży, a my mamy wrażenie, że właściwie się nie poruszamy. Jednocześnie mamy świadomość, że utrzymywanie w miarę równego tempa jest ważne. Tu nie ma miejsca na interwały. Pierwsze promienie słońca witamy z radością. Później te same słońce będziemy bardziej przeklinać, niż doceniać, ale to w dalszej części tej historii.

Kiedy robiąc zdjęcie Iwona dostrzeża małe punkciki powoli posuwające się do przodu na stromym zboczu góry, optymizm ulatnia się. Aż trudno nam to sobie wyobrazić, że również my będziemy musieli się tam dostać. Trasa prowadzi kilkoma stromymi podejściami przy dużej ekspozycji. Na jednej z nich mijamy jedyną ekipę, która schodzi tego dnia tą samą drogą.

Kiedy w końcu docieramy do grani jesteśmy już potwornie zmęczeni, a to tam trzeba będzie zachować największą czujność. Wąska skalno-śnieżna droga wymaga skupienia, bo po obu stronach mamy kilkusetmetrowe przepaści. Powoli poruszamy się do przodu, a przed nami



Ta wyprawa pokazała, że każda góra ma swój indywidualny charakter i trzeba to uszanować.

ostatnie wyzwanie przed szczytem, czyli wciągnięcie się po linie poręczowej, która zwisa z góry. Mam wrażenie, że chociaż tak blisko, to jednak ten wysiłek może okazać się zbyt duży.

Na szczycie odpoczywa inna ekipa, która widząc nas, rusza dalej, żeby zrobić nam miejsce. Resztkami sił udaje się nam wejść na szczyt. Jesteśmy tak zmęczeni, że brakuje nam energii do świętowania. Jest godzina 10.

Na szczycie odpoczywamy jakieś 30 minut i jednocześnie obserwujemy ekipę, która ustąpiła nam miejsca. Rozpoczęli zejście, korzystając z opcji zjazdu. To bardzo dobre rozwiązanie dla alpinistów, ponieważ zmniejsza ryzyko wypadku podczas mijania się na wąskiej grani.

Mając pewność, że ekipa już bezpiecznie pokonała kilka wyciągów, również my podchodzimy do pierwszego stanowiska i szykujemy się do zjazdu. Nie spieszymy się, bo stojąc na szczycie, każdy z nas miał

dreszcze, co wskazywało na gorączkę. Zjeżdżamy pojedynczo, pokonując 5 stanowisk, przy czym jeden jest „samoróbką” jakiejś wcześniejszej ekipy i na początku nie wzbudza naszego zaufania. Do ostatniego stanowiska pierwsza zjeżdża Iwona, której ostatecznie brakuje około 1,5 m liny. Na szczęście to nie pierwsza taka sytuacja w jej przypadku i z zimną krwią, po kilku niecenzuralnych słowach, pokonuje drogę do stanowiska, przedłużając linę i zabezpieczając tym samym kolejnych wspinaczy.

Północna ściana w cieniu powoduje, że jest nam bardzo zimno, a dreszcze obejmują już całe ciało. Marzymy o szybkim dostaniu się na nasłoneczniony teren, żeby się ogrzać. Jak tylko dostajemy się na pierwszy wypłaszczonego fragmentu w słońcu, ubieramy na siebie wszystko, co mamy i sięgamy po ciepłą herbatę. Rozpoczynamy dalsze zejście, zapadając się po kolana w śniegu. Niestety, ale świecące cały dzień słońce i rekordowo wysokie temperatury w Alach w tamtym czasie nie pomagają. Po chwili zaczynamy złowrogo patrzeć na żółtą kulę nad nami i robieramy się z ubranych jeszcze niedawno warstw. Otacza nas białe, puszyste piękno natury, ale trudno jest to docenić, bo odbijające się od tego słońce dodatkowo podnosi temperaturę.

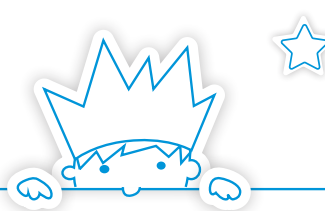
Na zakończenie

Skróćmy nieco ostatni etap, bo największe wyzwania za nami. Dotarliśmy szczęśliwie do schroniska. Każdy dostał po 2 tabletki paracetamolu i poszedł spać. Dopiero kolejnego dnia mieliśmy zaplanowany powrót do kolejki i na camping. Mimo zdobycia wielu innych szczytów, niższych i wyższych, ten jeden dał nam wyjątkowo w kość. Ta wyprawa pokazała, że każda góra ma swój indywidualny charakter i trzeba to uszanować. Udało się, chociaż pojawiły się trudne emocje, zaciśnięte zęby, zamrożone smarki i oparzenia twarzy.

Dziękujemy, że dotrwaliście z nami do końca tej górskiej historii. Mam nadzieję, że opis tej wyprawy przeniósł was na chwilę w Alpy. Jednocześnie dziękujemy wszystkim, którzy zaangażowali się w zrzutkę „Korona Europy dla dzieci z lubelskiego hospicjum”, tym wpłacającym i udostępniającym posty oraz link do zrzutki.

Wspólnie udało nam się zebrać 7288,26 zł na wyposażenie Sali Doświadczania Świata w Hospicjum dla Dzieci im. Małego Księcia w Lublinie.

Serdecznie Was pozdrawiamy,
Agata, Iwona, Wiola i Marcin



WOLONTARIAT W HOSPICJUM

Cześć. Mam na imię Natalia i jestem wolontariuszką w Hospicjum Małego Księcia

Na rozpoczęcie wolontariatu czekałam z niecierpliwością ponad rok, gdyż złożyłam formularz w czasie pandemii COVID-19 i wolontariat był wstrzymany ze względu na bezpieczeństwo pacjentów. Na tak bardzo wyczekaną wiadomość, że mogę po raz pierwszy przyjechać do hospicjum jako wolontariusz, zareagowałam z wielkim entuzjazmem.

O wolontariacie w hospicjum dowiedziałam się, będąc na studiach. Zaangażowałam się w działalność organizacji prowadzonej przez studentów medycyny. Na samych studiach często brakuje zajęć praktycznych, a działanie w organizacjach studenckich pomaga w zdobywaniu większej ilości wiedzy i rozwijaniu się w tematach, które nie zawsze są poruszane w trakcie kształcenia. Jedną z akcji, jaką miałam przyjemność organizować, była poświęcona edukacji przyszłych lekarzy o tym, jak przekazywać trudną diagnozę, jakich słów używać, mówiąc o niepomyślnym rokowaniu oraz jak radzić sobie ze śmiercią pacjentów. Wśród cyklu spotkań z lekarzami medycyny paliatywnej, psychologami, pielęgniarkami specjaliści wymieniali się ze studentami swoimi doświadczeniami nabytymi podczas pracy z pacjentami, którzy byli lub z czasem zostawali pacjentami hospicyjnymi. Zrozumiałam wtedy, że jest to bardzo ważna i szczególna część medycyny. Bardzo chciałam poznać hospicjum „od środka”.

Czy miałam przed przyjściem pierwszy raz jakieś obawy? Myślę, że obawiałam się tego, jak bardzo obciążające dla mnie będzie poznanie dzieci, które są nieuleczalnie chore, dla których diagnoza wyznaczyła ścieżkę leczenia hospicyjnego. Trudno mi było również odpowiedzieć sobie na pytanie: „Jak bardzo utrudniona będzie komunikacja z chorymi dziećmi na oddziale?” oraz „Czy uda mi się tak mówić, by być dobrze zrozumianym, aby czuły się przy mnie komfortowo”. Czasami z pacjentami udało mi się nawiązać trochę lepszy kontakt, w niektórych przypadkach zaś jest to bardzo utrudnione ze względu na ich stan ogólny. Przebywając z pacjentami na oddziale stacjonarnym, staram się



→ NATALIA na oddziale stacjonarnym LHD

skupiać na czynnościach, jakie w danym momencie mogę zrobić, czasem jest to karmienie czy nakrycie kołderką, gdy śpią. Staram się być tu i teraz, nie analizując indywidualnie ich historii.

W samym hospicjum staram się być kilka razy w miesiącu. To, co ujmuję mnie w tym miejscu najbardziej i czego nie spotkałam, odwiedzając oddziały szpitalne w Lublinie, w innych miastach Polski, a także na Węgrzech i w Tunezji, jest to, że panuje tu rodzinna atmosfera, a sam pacjent jest zaopiekowany przez zespół specjalistów. Codziennie jest usłyszeć od pracowników hospicjum troskliwe pytania o innych członków rodziny podopiecznego, czy też o to, aby po powrocie ze szpitala dać znać, że bezpiecznie dotarli do domu. Takie gesty i rozmowy sprawiają, że rodziny podopiecznych czują się zaopiekowane oraz bezpieczne, niepozostawione samym sobie z nieuleczalną chorobą dziecka – a to wszystko dzięki zaangażowaniu troskliwych ludzi pracujących w tym miejscu. Na pewno też rodzice mogą czuć ogromne wsparcie ze strony personelu, a sam zespół pozostając z podopiecznymi w częstym kontakcie, wie doskonale, co jest najbardziej odpowiednie dla dziecka. Często podopieczni zaskakują. Chociaż wyda-

wać by się mogło, że są zbyt mali lub ich stan ogólny sprawia, że coś może być dla nich trudne do zrozumienia, i choć nie mówią, to ich reakcje świadczą o pewnej dojrzałości i rozumieniu tematu. Bardzo ważna jest umiejętność rozmowy z całym rodziną oraz dostosowanie się do rozmowy z dorosłymi i z dziećmi.

Od dzieci w hospicjum nauczyłam się innego spojrzenia na życie. Obserwuję, jak często sami wyolbrzymiamy problemy, które pojawiają się w naszym życiu, nie zdając sobie sprawy, z jakimi trudnościami mierzą się na co dzień rodziny podopiecznych. Mam wrażenie, że czasem skupiamy się na czymś, co jest nieistotne i często nie dostrzegamy drobnych rzeczy, które mogą nam umykać. Spędzając czas z dziećmi w hospicjum, czytając bajki i widząc uśmiech na twarzy podopiecznego, doceniam każdy dzień i najważniejsze wartości w życiu. Warto jest się czasem zatrzymać, zrobić coś dla innych bezinteresownie, spędzić z kimś czas bez patrzenia na zegarek czy telefon – to wszystko pomaga spojrzeć na życie z innej perspektywy. Pomaganie innym napędza do działania i daje naprawdę dużo satysfakcji.

Natalia, wolontariuszka LHD

Rehabilitacja w Domu Małego Księcia



Rozmawiamy z DOKTOR KALINĄ JAWORSKĄ, Kierownik Poradni Rehabilitacyjnej w Domu Małego Księcia w Lublinie przy ul. Łędzian 49

Jacy pacjenci mogą skorzystać z rehabilitacji w Domu Małego Księcia?

Pod tym względem jesteśmy wyjątkową placówką, ponieważ nasza poradnia obejmuje opieką zarówno dzieci (od niemowląt zaczynając), jak i osoby dorosłe. Jest to istotne, gdy np. rodzice niepełnosprawnego nastolatka chcą kontynuować usprawnianie w placówce, która zna jego problemy zdrowotne od dzieciństwa, a wraz z 18. urodzinami zbliża się moment przejścia w wiek dorosły. Dotyczy to zwłaszcza dzieci o znacznym stopniu niepełnosprawności. Jednak, pragnę zaznaczyć, że jesteśmy placówką, tak jak całe hospicjum, nastawioną na usprawnianie małych pacjentów.

Czy zabiegi są odpłatne, czy refundowane przez NFZ?

Pracujemy, realizując kontrakt z NFZ w ramach opieki ambulatoryjnej oraz zabiegi poza kontraktem, tj. komercyjne.

W ofercie zabiegów w Domu Małego Księcia jest aparat SIRIO. To wyjątkowo pomocne i rzadko spotykane urządzenie. Na czym polega jego działanie? Czy potrzebne jest skierowanie na taki zabieg?

Jesteśmy jedną z nielicznych placówek w Lublinie, które dysponują urządzeniem do głębokiej stymulacji kawitarnej, tj. SIRIO. Urządzenie działa, podobnie jak ultradźwięki, na zasadzie przetwarzania energii elektrycznej w fale akustyczne, jednak są to fale o znacznie niższej częstotliwości, tj. tylko 38 kHz.

Oddziaływanie terapeutyczne polega na połączeniu zjawiska kawitacji oraz efektu termicznego. Dodatkową istotną różnicą jest głębsza penetracja tkankowa oraz skuteczniejsza aplikacja środka leczniczego, który podajemy podczas zabiegu SIRIO.

Zabieg zalecany jest w ostrych i przewlekłych stanach zapalnych układu mięśniowo-szkieletowego różnego

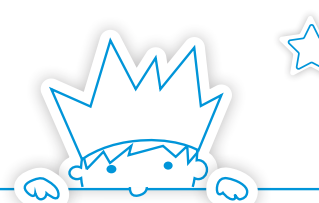
pochodzenia – szczególnie polecany w zespole bolesnego barku, entezopatiach, takich jak łokieć tenisisty czy łokieć golfisty, w stanach pourazowych (krwiakach, obrzękach), rozległych bliznach, zwapnieniach czy zwłóknieniach mięśni i ścięgien.

Zabieg jest bezbolesny, często już po 2–3 zabiegach pacjent odczuwa wyraźną poprawę.

Niestety, zabieg realizowany jest tylko poza kontraktem z NFZ, to znaczy komercyjnie. Skierowanie nie jest wymagane, zabieg zaleca lekarz Poradni Rehabilitacyjnej lub fizjoterapeuta naszej Pracowni Fizjoterapii na umówionej wizycie.

Jakie jeszcze zabiegi rekomenduje pani w Domu Małego Księcia?

Dla dorosłych odbiorców, w dobie powszechnych zmian miażdżycowych, nerwic, zaburzeń depresyjnych, zaburzeń pamięci, szczególnie polecam



zabieg o magicznej nazwie: **kąpiel tlenko-węglowa**. Magicznej, ponieważ kąpiel jest sucha, a CO₂ w istotnie większym stężeniu niż w otaczającym nas powietrzu. Leżącego wygodnie w urządzeniu kapsułowym pacjenta, otaczamy jakby chmurą CO₂ z butli ze stężonym gazem. Oddziaływanie terapeutyczne polega na wchłanianiu dwutlenku węgla przez skórę, który w organizmie wywiera silny efekt rozszerzający drobne naczynia. Owocuje to istotną poprawą dotlenienia tkanek, co przekłada się na poprawę funkcji poszczególnych organów i układów organizmu. Zabieg poza ww. wskazaniami zalecany jest również w przypadku reumatoidalnego zapalenia stawów, w chorobie Raynauda i Buergera, w zaburzeniach krążenia obwodowego związanych z miażdżycą czy cukrzycą, poprawia gojenie się ran i przyspiesza leczenie oparzeń. Sucha kąpiel CO₂ działa kojąco na układ współczulny, wspomaga leczenie nadciśnienia tętniczego, zmniejsza obrzęki limfatyczne, pomaga w problemach z bezsennością.

Dla pacjentów, którzy cierpią z powodu ostrogi piętowej, mamy do zaproponowania znany od lat, ale nadal najskuteczniejszy w tym wypadku zabieg, tj. **falę uderzeniową**.

Z polecanych terapii dla dzieci i dorosłych należy wymienić terapię z użyciem **platformy wibracyjnej**, która w zależności od użytej częstotliwości drgań ma odmienne działanie. I tak przy niższej częstotliwości wibracji uzyskujemy działanie rozluźniające mięśnie i tkankę łączną, przy większych częstotliwościach poprawę siły mięśniowej oraz poprawę mineralizacji tkanki kostnej.

Z kolei dla dzieci, które nie radzą sobie z docierającymi poprzez narządy zmysłów bodźcami ze świata zewnętrznego, z ich interpretacją i integracją, mamy w pełni wyposażoną **salę do terapii SI** i zespół dobrze przygotowanych terapeutów SI.

Zaburzenia SI mogą być związane z niedostymulowaniem w łonie matki w trakcie porodu i tuż po nim. Przytrafia się to głównie wcześniakom, dzieciom których mamy długo leżały przed porodem dla ochrony ich życia.

Zaburzenia integracji sensorycznej wywierają negatywny wpływ na wiele sfer funkcjonowania człowieka. Objawy zaburzeń SI to np.:

- nadruchliwość lub przy innej konfiguracji zaburzeń – obniżony poziom aktywności,



→ **ĆWICZENIA na bieżni**

- wycofanie z kontaktów społecznych,
- problemy z koordynacją i równowagą,
- nadwrażliwość dotykowa – unikanie pewnych faktur, ubrań, wyrażająca się niechęcią do mycia twarzy, włosów, obcinania paznokci,
- brak adekwatnej reakcji bólowej na uraz, wybiórczość pokarmowa, problemy z koncentracją uwagi, problemy z zasypianiem, nadmierne lub zbyt słabe reagowanie na różne zapachy i smaki, a także dźwięki (przy prawidłowym słuchu) i jeszcze wiele innych.

Niepokój rodzica powinno budzić, zaobserwowanie u dziecka kilku ww. objawów o nasileniu istotnie odbiegającym od obserwowanych u rówieśników – na przykład na tle grupy w przedszkolu, w rodzinie, ponieważ pewne elementy wymienionych objawów występują rozwojowo i podczas dorastania, w trakcie prawidłowej stymulacji środowiskowej

dochodzi w sposób naturalny do dojrzewania systemu integracji zmysłów.

Wyżej przedstawione liczne zaburzenia SI, z tego powodu w przypadku niepokoju rodzica wskazana jest konsultacja z lekarzem.

Terapia integracji sensorycznej opiera się głównie na mechanizmie plastyczności mózgu.

W zaburzeniach integracji sensorycznej poprawa może nastąpić pod wpływem kontrolowanej i odpowiednio dobranej stymulacji zmysłowej. Terapia odbywa się zazwyczaj raz w tygodniu.

Już niebawem udostępnimy naszym pacjentom Salę Doświadczania Świata, która powstaje dzięki akcji „Korona dla Hospicjum”.

Dziękujemy za rozmowę, a małych i dużych pacjentów zapraszamy do skorzystania z oferty zabiegów na stronie: www.dommalegoksiecia.pl



→ **ZABIEG w kapsule CO₂**

WAKACYJNE WYJAZDY



Nakrętka do nakrętki i prawie 50 naszych podopiecznych rodzin polskich oraz ukraińskich wyjechało na wymarzony wypoczynek. Taki wyjazd to czas spędzony razem, a także chwila na złapanie odrobiny oddechu od codzienności i nabrania siły na cały rok. Rodziny podczas wyjazdów

cieszyły się pięknymi widokami zarówno nad morzem, jak i w górach. Pełne radości twarze naszych podopiecznych na wakacyjnych zdjęciach są podziękowaniem dla wszystkich zakreconych bohaterów za każdą plastikową nakrętkę przekazaną na rzecz naszego hospicjum. Zakrecona Akcja nie zwalnia tempa, plastikowe nakrętki zbieramy cały czas.



Małgosia

→ MAŁGOSIA relaksuje się podczas hipoterapii



Dmytro

→ DMYTRO będzie miał co wspominać z wyjazdu w góry



Maksym

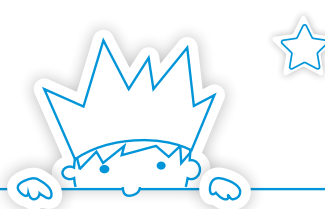
→ MAKSYM na wyjazd z mamą w góry zabrał dużą dawkę dobrego nastroju



Laura



→ LAURA uwielbia zabawę na plaży



Mały Książę



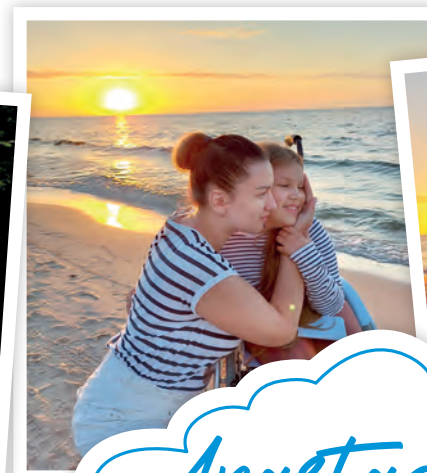
Anielka

→ ANIELKA uwielbia spędzać czas w górach. Jak rodzinny wyjazd to tylko w ukochane Bieszczady



Michał

→ MICHAŁ Z RODZINĄ przemierzał górskie szlaki



Anastazja

→ ANASTAZJA jest zachwycona zachodem słońca nad morzem



Alona



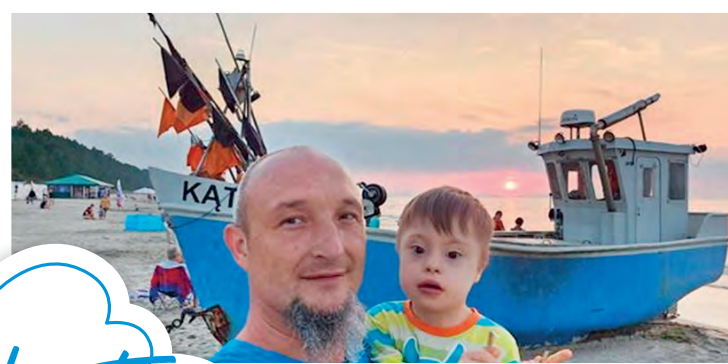
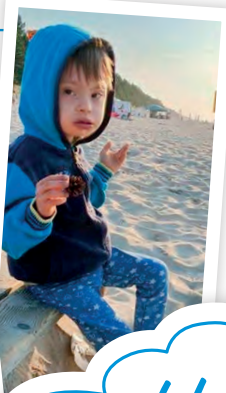
→ ALONA Podziwia górskie krajobrazy



Zuzia

→ PIĘKNA WIZYTÓWKA z wakacji od naszej kochanej ZUZU. Wyjazd z rodziną i wspólne plażowanie jest super





Hubert

→ HUBERT ŁAPIE promienie słońca i korzysta z uroków rodzinnego wyjazdu

Rozalia



→ POBYT W GÓRACH maleńkiej Rozalii to wasza zasługa

Tosia



→ SŁOŃCE I SZUM FAL, tego potrzebowała rodzina naszej kochanej Tosi, by odpocząć i nabrać pozytywnej energii

TAK NAM POMAGACIE

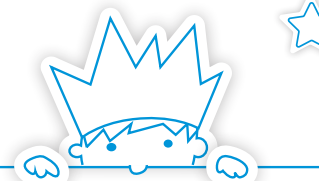
DZIAŁO SIĘ!

Nasi przyjaciele są bardzo kreatywni i stają się inspiracją do działania na rzecz potrzebujących dzieci. Może będzie to dla was pomysł do podjęcia wyzwania :)



EKO TRAG W ŚWIDNIKU WSPARŁ ZAKRĘCONĄ AKCJĘ

Po raz kolejny uczestnicy Eko Targu w Świdniku włączyli się w Zakręconą Akcję dla naszych podopiecznych. W zamian za przyniesione nakrętki Nadleśnictwo Świdnik obdarowywało sadzonkami drzew i krzewów. Akcja cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, co przełożyło się na zebranie dużej ilości nakrętek. Datki dla hospicjum zbierali uczniowie ze Szkolnego Koła Wolontariatu Szkoły Podstawowej nr 5 w Świdniku. Organizatorami wydarzenia byli Miejski Ośrodek Kultury i Miasto Świdnik.



Mały Książę

MOTOCYKLIŚCI DLA PODOPIECZNYCH MAŁEGO KSIĘCIA



Stowarzyszenie motocyklowe „Furia” po raz kolejny zorganizowało akcję charytatywną dla naszych podopiecznych. Fani jednośladów z województwa lubelskiego okazali swoje ogromne serca, przekazując zebrane dary najbardziej potrzebne w codziennej opiece naszych dzieci. Otrzymaliśmy pieluchy, podkłady medyczne, środki pielęgnacyjne i higieniczne, które zostały przekazane dla naszych dzieci będących pod opieką hospicjum domowego i stacjonarnego.

KIBICE ŻUŻLA DLA MAŁEGO KSIĘCIA



Kibice żużla Platinum Motor Lublin wspierają naszych podopiecznych. Koziołki po raz kolejny pokazaliście moc!



PIERWSZE DZIECKO W NASZYM OKNIE ŻYCIA



Alarm w Oknie Życia zadzwonił 12 maja 2023 roku o godzinie 5:45. W środku znaleziono noworodka. Chłopiec został natychmiast zaopiekowany przez nasz zespół medyczny. W stanie stabilnym zgodnie z procedurami został przekazany zespołowi ratownictwa medycznego i przewieziony do szpitala. Chłopiec otrzymał imię Bartłomiej na cześć lekarza, który zajął się dzieckiem w szpitalu. Okno Życia mieści się w bocznej części budynku i prowadzą do niego tablice kierunkowe. To ustronne miejsce, bez kamer, gdzie osoba, która nie chce lub nie

może zająć się swoim dzieckiem, może je pozostawić anonimowo i bezpiecznie. „Okno Życia jest konsekwencją naszych działań i troski o życie w każdym wymiarze. Jest szansą dla matek, które znalazły się w dramatycznej sytuacji i podjęły decyzję, że nie mogą same wychowywać swojego dziecka. Okno pozwala im zapewnić maleństwu kochający dom, choć nie będzie to dom stworzony przez biologicznych rodziców” – o. Filip Buczyński, prezes Hospicjum im. Małego Księcia. Okno Życia przy hospicjum istnieje od grudnia 2021 roku.



WSPARCIE W ŻAŁOBIE

Jednym z zadań naszego hospicjum jest towarzyszenie rodzinie na poszczególnych etapach żałoby po śmierci chorego dziecka. W ramach wsparcia Rodzin w Żałobie

organizujemy spotkania, podczas których rodziny mają poczucie, że nie są same. Spotkania w gronie rodzin zjednoczonych przez opiekę naszego hospicjum tworzą miejsce na

wyrażenie swoich emocji, rozmowy z osobami przechodzącymi podobne doświadczenia, a także dają możliwość podzielenia się trudami oraz niesienia wzajemnego wsparcia.



→ NAJPIĘKNIEJSZE
wspólne chwile

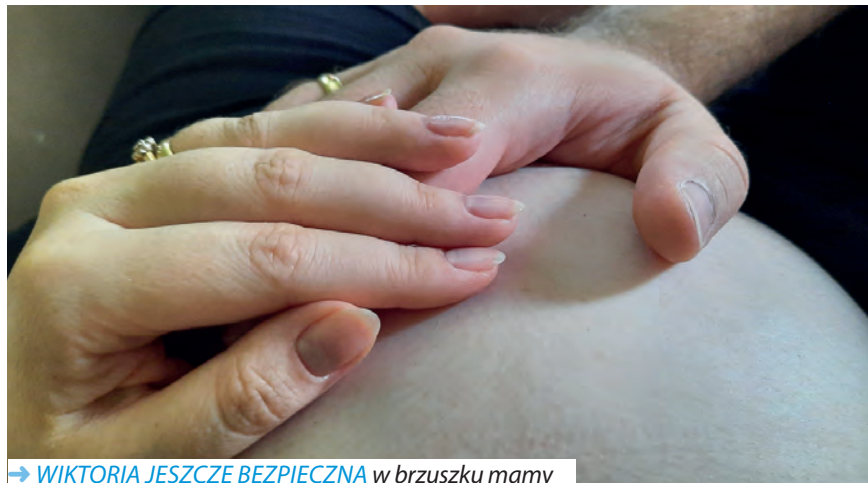
HOSPICJUM PERINATALNE



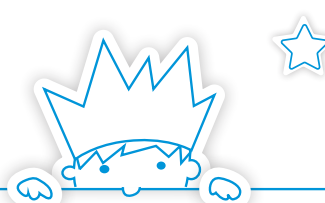
To miał być najpiękniejszy czas w naszym życiu...

Byliśmy pół roku po ślubie. W lutym dowiedzieliśmy się, że zostaniemy rodzicami. Wszystko przebiegało prawidłowo, nie było powodów do obaw. 14 czerwca 2023 roku nasze życie całkowicie się zmieniło.

Podczas drugiego prenatalnego USG dowiedzieliśmy się o widocznych wadach. Najpierw lekarz przekazał nam, że będziemy mieli córeczkę. Nasza radość nie trwała długo. Słyszeliśmy wyraźną zmianę w tonie głosu lekarza. Początkowo wspominał o wadzie serduszka, o tym, że takie zmiany się operuje. Zaraz potem głos mu się załamał. Wymieniał kolejne nieprawidłowości. Leżałam na kozetce, mąż stał obok mnie, byliśmy przerażeni. Lekarz poprosił, żebyśmy przyjechali następnego dnia na dokładniejsze USG. Po jego wykonaniu skierował nas na potwierdzenie diagnozy do Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie.



→ WIKTORIA JESZCZE BEZPIECZNA w brzuszku mamy



Przeprowadzona w Warszawie amniopunkcja potwierdziła Zespół Edwardsa. Dostaliśmy skierowanie do hospicjum. Wizyty w Instytucie były bardzo stresujące, zbyt wiele nas kosztowały pod względem emocjonalnym. Diagnozował nas znany lekarz specjalizujący się w USG. Spotkaliśmy się tam z podejściem bardzo roszczeniowym, przedmiotowym. Czułam się jak kolejny problematyczny przypadek. Mój mąż czekał pod szpitalem, podobnie jak inni mężczyźni nie był wpuszczony do budynku. Tak jak wspominałam wyszliśmy stamtąd z diagnozą Zespołu Edwardsa oraz informacjami, że w takim przypadku powinno się rozwiązać ciążę. Byliśmy przestraszeni i mieliśmy w głowie miliony pytań. Podczas odbytych tam wizyt słyszeliśmy m.in. takie słowa jak: „kolejne dziecko do umarcia”, „są fundacje poza Polską, które zajmują się terminacją ciąży, ale w Pani przypadku to już ostatni tydzień, potem już będzie za późno”. „Czy mój mąż może wejść ze mną? Bardzo się boję”. „Nie, mąż badania nie robi” itp. Mieszkamy w Lublinie, więc po diagnozie postanowiliśmy kontynuować opiekę lekarską już na miejscu.

W Lublinie poprosiliśmy o dalsze prowadzenie ciąży jednego z profesorów, jesteśmy mu bardzo wdzięczni, dokładnie nam wszystko wytłumaczył, uspokoił. Jako pierwszy powiedział nam, że nasza córeczka jest bezpieczna, że jest jej dobrze w brzuszku, że nie cierpi. Było to dla nas bardzo ważne. Zgłosiliśmy się również do Hospicjum Małego Księcia w Lublinie, spotykaliśmy się na rozmowach z ojcem Filipem. Otrzymaliśmy tak bardzo nam wtedy potrzebne wsparcie, poculiśmy ogromną ulgę. Zrozumieliśmy, że ktoś się nami zaopiekuje, że nie jesteśmy sami, że damy radę. Z hospicjum pokierowano nas też do szpitala PSK4, chodziliśmy na spotkania z panią psycholog, w razie jakichkolwiek pytań byliśmy z nią w stałym kontakcie.

Zapisaaliśmy się również do hospicyjnej szkoły rodzenia, gdzie dowiedzieliśmy się wielu ciekawych informacji, zapoznaliśmy się z kolejną cudowną osobą – położną prowadzącą zajęcia. Za jej namową zaczęliśmy również chodzić do fizjoterapeutki uroginekologicznej, co bardzo pomogło mi w zniwelowaniu napięcia, stresu oraz bólu.

Termin porodu na początku ciąży wyznaczono mi na 20 października. Nie wiedzieliśmy jednak, kiedy nasza córeczka Wiktoria przyjdzie na świat.



→ CZAS POŻEGNANIA



wałam jej kołysanki, a ona odpowiadała na mój głos swoim głosikiem. Dziękujemy jej za to wszystko, za to, że tak dzielnie walczyła o każdą minutę z nami. Jej oddech stawał się coraz słabszy, odeszła cichutko o godz. 4:30.

To, co nas spotkało, było straszne, przerażające, przeplakaliśmy wiele dni i nocy, ale cała ta sytuacja wniosła też wiele dobrego. Na swojej drodze spotkaliśmy naprawdę wspaniałych ludzi. Czujemy z mężem, że dzięki swojemu wzajemnemu wsparciu i miłości możemy przetrwać wszystko, że razem damy radę! A nasza córeczka pozostanie w nas zawsze z nami. Jest teraz naszą Świętą w Niebie.

Dziękujemy całemu zespołowi lekarzy, położnych, pielęgniarek za wspaniałą opiekę, za ogromne wsparcie. Czuliśmy się tak, jakby opiekowały się nami anioły.

Ceremonię pogrzebową odprawił ojciec Filip, któremu również chcemy bardzo podziękować. Nie wyobrażamy sobie, żeby zrobił to ktokolwiek inny. Bardzo dziękujemy za całe wsparcie w tych najtrudniejszych dla nas chwilach.

Dziękujemy również naszej wspaniałej pani psycholog – Anecie Liberze za pozostawanie pod telefonem 24 godz. na dobę, za niesamowitą opiekę, rozmowy, przytulanie.

Dziękujemy naszej pani położnej Agnieszce z hospicyjnej szkoły rodzenia za ogrom przekazanej nam wiedzy i miłości.

Dzięki opiece Hospicjum im. Małego Księcia byliśmy w stanie się przygotować i wykorzystać jak najlepiej czas, który dane nam było spędzić z naszą kochaną córeczką.

Dziękujemy raz jeszcze za wszystko!
Magdalena i Grzegorz

Ze względu na ilość i rodzaj wad lekarze przypuszczali, że dzieciątko odejdzie prawdopodobnie jeszcze we mnie lub niedługo po porodzie. To nasze pierwsze dziecko, więc było przed nami wiele nie wiadomych.

24 października o godz. 20:15 urodziłam córeczkę. Była to najpiękniejsza chwila w naszym życiu. Przez cały czas obok mnie czuwał mój mąż, który od razu udzielił Wiktorii sakramentu chrztu świętego. Malutką zaopiekował się cały zespół wspaniałych osób, dostała środki przeciwbólowe, podano jej również tlen. Spędziliśmy z naszym maleństwem 8 godz. i 15 min, przez cały ten czas była z nami. Trzymaliśmy ją na rękach, przytulaliśmy, całowaliśmy. Kiedy głaskaliśmy ją po nosku, przymykała oczka. Patrząc na nasze twarze, przyglądała się nam swoimi pięknymi oczkami. W nocy śpie-

JESTEM CZŁOWIEKIEM mamą, babcią i lekarzem

W cyklu – poznaj naszych pracowników, przedstawiamy kolejną osobę, która codziennie dba o naszych małych podopiecznych. **DOKTOR OKSANA** jest pediatrą i przyjechała do nas z Ukrainy. Opowiada o wcześniejszej pracy w swoim kraju, sprytnych maluchach, „naszym małym pulpeciku”, nauce języka i podróżach po Polsce.

Przyjechała pani do Polski na początku wojny. W jaki sposób rozpoczęła pani pracę w hospicjum?

Pochodzę z Zaporozia, to bardzo blisko działań wojennych. Jestem lekarzem i początkowo nie chciałam wyjeżdżać z kraju. Zgłosiłam się do szpitala wojkowego i chciałam pomóc. Powiedzieli mi tam: „Masz córkę! Najpierw ratuj ją”. To samo powiedział mi mój syn, który mieszka w okolicach Krakowa. Miałam duże wątpliwości. „No jak to?! Moja ojczyzna walczy, ja jestem lekarzem, muszę pomagać! Nie mogę ich zostawić” – myślałam. Do tej pory mam takie myśli, ale wyjechałam. Najpierw mieszkałam u syna, a później przyjechałam do Lublina. Napisałam ogłoszenie na Facebooku, że pracowałam w Ukrainie trzydzieści lat jako pediatra i szukam pracy. Zadzwoił do mnie ojciec Filip i zaproponował pracę w hospicjum.

Skoro pani tu pracuje, to rozmowa skończyła się pozytywnie. Proszę opowiedzieć o pierwszym dniu w hospicjum.

O! Do tej pory pamiętam ten pierwszy dzień! Teraz mogę mówić o tym spokojnie, ale wtedy stres był ogromny. Wydawało mi się, że dobrze rozumiem język polski. W domu z synową się dogadywałam. Ona po polsku, ja po ukraińsku i się rozumialiśmy, ale kiedy tu przyszedłam, okazało się, że nie jest tak prosto. Ojciec Filip poprosił, żebym powiedziała coś o sobie, a dla mnie to zawsze było trudne – opowiadać o sobie nieznanym osobom. Powiedziałam, że jestem z Ukrainy, jestem pediatrą i chcę tu pracować. Nasza pani kierownik medyczna bardzo dobrze mówi po rosyjsku, więc to ułatwiło mi komunikację. Od samego początku uczyłam się polskiego i do tej pory biorę lekcje. Teraz przygotowuję się do egzaminu z języka polskiego z zakresu terminologii medycznej. Mam nadzieję, że zdam i później uda mi się zdobyć nostryfikację. Zawsze bałam



→ Z POMOCNIKIEM HUBERTEM, podopiecznym LHD

się egzaminów. Strach mnie ogarnia, kiedy o tym myślę, ale muszę to zrobić.

Jest pani pediatrą. Gdzie pracowała pani na Ukrainie?

Na samym początku kariery, tuż po uniwersytecie, pracowałam na intensywnej terapii noworodków. Pragnęłam leczyć dzieci, bo je po prostu kocham. Są takie wspaniałe, małeńkie, po prostu cudowne. Gdybym tylko mogła, to wciąż bym je przytulała i całowała.

Po jakimś czasie musiałam pomyśleć o zmianie. Mąż pracował jako policjant, więc oboje byliśmy ciągle w pracy, a mieliśmy wtedy pięcioletniego syna, który przecież nie mógł sam siedzieć w domu. Przeniósł się do oddziału położniczego, ale wiadomo, że to też wymagało zaangażowania i czasu, więc zdarzało się, że brałam syna do pracy. Przez to ten maluch już w wieku pięciu lat wiedział, skąd się biorą dzieci.

Na koniec przeniosłam się do państwowej przychodni i tam pracowałam

przez dwadzieścia sześć lat jako pediatra, a w międzyczasie jako lekarz gabinetu nastolatek. Wreszcie półtora roku przed wojną zaczęłam pracę w prywatnej przychodni.

Chyba opowiedziała mi pani więcej niż ojcu Filipowi podczas rozmowy wstępnej. Skoro pracowała pani na intensywnej terapii, to hospicjum nie było już zaskoczeniem?

Było. Na intensywnej terapii pracowałam bardzo dawno temu i nie było tam dzieci z chorobami genetycznymi i schorzeniami neurologicznymi. Tu nie są prowadzone działania ratujące życie. Trafiające tu maluchy są już zdiagnozowane, a naszym zadaniem jest zrobić wszystko, co możliwe, żeby cierpiały jak najmniej. Kiedy tu przyszedłam, byłam przerażona. W Ukrainie nie miałam kontaktu z dziećmi z takimi schorzeniami i z wadami wrodzonymi. Ja nawet nie wiedziałam, czy w Zaporoziu istnieje hospicjum dla dzieci. Do tej pory nie

wiem, a żyłam tam trzydzieści pięć lat. Dla dorosłych – owszem, ale dzieci? Chyba nie. Miałam swoją pracę z dziećmi, ale nie zdarzyło się, żebym musiała skierować dziecko do hospicjum.

Mówi pani, że kocha dzieci, więc maluchy są tu w dobrych rękach.

Jestem człowiekiem, lekarzem, mamą, babcią, mam troje wnuków... Lubię swoich pacjentów, lubię się z nimi bawić i rozmawiać. Wiadomo, że przede wszystkim mam je zbadać, ale bywa tak, że mały pacjent ciągnie mnie za rękę, pokazuje zabawki, zachęca do jakiejś reakcji i zabawy. Odkładałam wtedy słuchawki i na początku bawię się z nimi i rozmawiam, o ile maluszek może mówić, bo może mieć rurkę tracheotomijną. Ale dzieci radzą sobie nawet z takimi problemami. Mam pod opieką Michałka, brzdąc ma zaledwie dwa latka i już sam wymyślił, że może sobie tę rurkę zatkać rączką, żeby mówić. Dzieci są bardzo praktyczne. Na przykład mój wnuk mówi po polsku i po ukraińsku, więc doskonale mnie rozumie. Kiedy mówię do niego po ukraińsku i czegoś mu zabraniam, wtedy mówi, że nie rozumie. Mówię, więc po polsku, a ten szkrab nadal uparcie twierdzi, że nie rozumie.

Czy przyzwyczaiła się już pani do specyfiki tej pracy?

Trudno powiedzieć, czy do takiej pracy można się przyzwyczaić. Jestem wrażliwym człowiekiem, trudne sprawy i emocje trafiają wprost do serca. Człowiek pragnie pomóc, a nie zawsze może. Mam tu małą dziewczynkę. Emilka skończyła trzy miesiące. Mówimy o niej – nasz mały pulpecik, bo jest taka pulchniutka i okrągłutka. Ma ciężką niewydolność serca, której, niestety, nie można zoperować. Małeństwo często krzyczy z bólu, a my nawet nie wiemy, co ją boli. Ale praca tu, to nie tylko dzieci, to też ich rodzice. Rozmawiam każdego dnia z mamą Emilki. Przyjechała tu z Ukrainy i nie zna języka polskiego. Staram się ją wspierać.

Podobnie podczas opieki domowej. Teraz, kiedy już dobrze mówię po polsku, mogę porozmawiać z rodzicami. Przecież taka matka jest cały dzień w domu obok tego dziecka. Pragnie chwili wolnego czasu, pragnie odpocząć i z kimś porozmawiać. Nie tylko o dziecku i chorobie.

Słyszałam, że lubi pani podróżować.

Oj tak! Wcześniej zawsze podróżowałam z rodziną. Kochałam nasz Krym, ale po 2014 roku musieliśmy przestać tam jeździć. Za to poznawaliśmy Polskę, byłam w Krakowie, w Kazimierzu Dolnym, Zamościu. Zwiedzaliśmy te okolice.



→ DR OKSANA z małą Emilką na oddziale stacjonarym



→ PODRÓŻE w czasie wolnym

Teraz trochę bałam się sama jeździć, ale w końcu się odważyłam i pojechałam nad Morze Bałtyckie. Sprawdziłam pogodę, nabrałam swetrów, wzięłam wiatrówkę, dojeżdżam, a tam gorąco. Pięknie tam jest. Poza tym wciąż podróżuję, przecież jeździmy na wizyty domowe. Biłgoraj, Chełm, Zamość. Nie zwiadam, ale kiedy jedziemy do naszych pacjentów, to coś tam mogę przez okno zobaczyć.

A Lublin?

Bardzo mi się podoba. Łapię się na tym, że idę i myślę – to już takie moje rodzinne miejsce. Tylko żal, że tu nie ma mego męża. Nie może przekroczyć granicy. Był policjantem, poza tym mężczyźni do sześćdziesiątego roku życia nie mogą wyjechać. Z rodziną w Ukrainie kontaktuję się telefonicznie. Wcześniej jeździłam do domu, ale to było niezwykle trudne. Najpierw radość ze spotkania, a później ogromny smutek rozstania i zamartwianie się, bo przecież tam jest niespokojnie. Nigdy nie myślałam, że będę żyć podczas wojny. Kiedy zobaczyłam te wszystkie zbombardowane, zniszczone budynki, ogromną ilość ukraińskich flag na cmentarzu, oznaczających, że leżą tam nasi żołnierze... Kiedyś babcia opowiadała mi o II wojnie. Słuchałam i niewiele mogłam zrozumieć. Mówiłam: – O! To straszne. – Teraz ja mogę panu tak opowiadać... Trudno jest o tym wszystkim nie myśleć, ale tu muszę być lekarzem, mamą i babcią, więc staram się ograniczać złe myśli i stres.

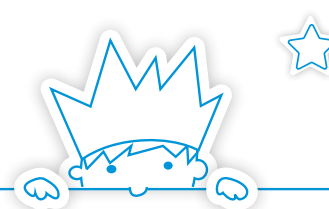
To spróbujmy go ograniczyć. Lubi pani gotować?

Oj, niekoniecznie. Ale za to uwielbiam robić na drutach i skłekać coś z niczego, co mogłoby się nadawać do wyrzucenia, a okazuje się, że można zrobić z tego piękne, użyteczne rzeczy. Lubię robić biżuterię i ogólnie takie rękodzieło. Teraz zajmuję się tym trochę mniej, bo wciąż się uczę. Praca, nauka, dom, obowiązki w domu, odrabianie lekcji i tak codziennie.

To na koniec wróćmy do hospicjum. Robi pani nostryfikację, więc pewnie pani tu już zostanie.

Zastanawiam się nad tym. Córką zaczęła chodzić do liceum. Zdała doskonale egzamin z polskiego. Ja też wciąż się uczę, więc pewnie będę brała to pod uwagę. W decyzji na pewno pomogą mi współpracownicy, bo to wspaniali i naprawdę świetni ludzie. Otwarcie i chętni do pomocy, więc pracuje mi się tu bardzo dobrze. Zobaczymy, jak to wszystko się poukłada. Czas pokaże.

Rozmawiał Marcin Jaszak


www.sklep.hospicjum.lublin.pl

DLA RODZICÓW OCZEKUJĄCYCH

- Co oznacza choroba nienarodzonego dziecka?
- Jakie są możliwe scenariusze?
- Jak się odnaleźć w nowej, trudnej sytuacji?
- Kto mi pomoże, kto wysłucha i zrozumie?
- Co to jest hospicjum perinatalne?
- Komu i w jaki sposób pomaga hospicjum?

Odpowiedzi na te i inne pytania znajdziesz w poradniku napisanym przez zespół hospicjum perinatalnego oraz rodziców, którzy przeszli trudne doświadczenie choroby nienarodzonego dziecka bądź jego przedwczesnej śmierci.

Znajdziesz też tutaj świadectwa determinacji i wiary rodziców, dla których godność życia ludzkiego warta była poświęcenia i zmagania z własnymi słabościami.

Poradnik ten powstał głównie z myślą o rodzicach stojących w obliczu prawdopodobnej choroby swojego nienarodzonego dziecka. Może być również przydatny dla ich bliskich (rodziny, przyjaciół i znajomych) oraz dla lekarzy, pielęgniarek i położnych, którzy poprzez swoją postawę zrozumienia i podmiotowego podejścia do pacjenta są istotnym wsparciem dla rodziców doświadczających cierpienia związanego z chorobą dziecka.



KALENDARZ



Z BOGIEM TRZEBA SIĘ KŁÓCIĆ



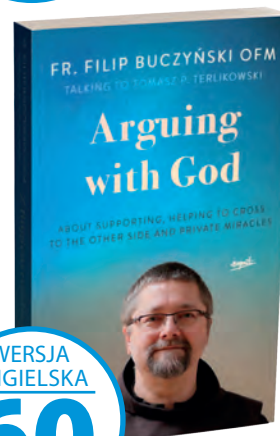
Autor: o. Filip Buczyński, Tomasz P. Terlikowski
Książka o pomocy, przeprowadzaniu na drugą stronę i osobistych cudach.

Ojciec Filip Buczyński w głębokiej i poruszającej rozmowie opowiada Tomaszowi Terlikowskiemu o swojej fascynacji św. Franciszkiem, kulisach prowadzenia hospicjum perinatalnego, walce o życie każdego człowieka oraz o sensie cierpienia. We wzruszający sposób udowadnia czytelnikom, że wszyscy możemy stać się narzędziem Bożego Miłosierdzia, a także zaświadczać o małych i dużych cudach, na które powinniśmy otworzyć nasze serca i oczy.

Książka dostępna w wersji polskiej oraz angielskiej.

„Ojciec Filip niezwykle poruszająco, a zarazem z właściwym dla siebie poczuciem humoru, opowiada o tajemnicach radzenia sobie z chorobą i cierpieniem, trudnościach pracy w hospicjum, ale przede wszystkim o cudach, których był świadkiem. Każda rozmowa z nim daje mi radość i nadzieję. Doświadczenia tego wszyscy, którzy zanurzą się w treść książki!”

Magdalena Różczka
aktorka



WERSJA
ANGIELSKA
60
ZŁ

Narodzili się dla Nieba

Podopieczni, którzy odeszli od nas w okresie od wydania ostatniego numeru Informatora



ZOFIA K.
♥ ur. 22.04.2019
† zm. 4.04.2023



KLAUDIA T.
♥ ur. 28.07.2008
† zm. 4.04.2023



ŁUCJA G.
♥ ur. 25.02.2010
† zm. 24.07.2023



FRANCISZEK T.
♥ ur. 31.03.2021
† zm. 25.07.2023



TYMOFII V.
♥ ur. 18.10.2020
† zm. 2.08.2023



ALEKSANDER K.
♥ ur. 11.07.2013
† zm. 13.09.2023



MARCELINA S.
♥ ur. 3.12.2017
† zm. 26.10.2023



WIKTORIA
♥ ur. 24.10.2023
† zm. 25.10.2023



OTYLIA
♥ ur. 3.11.2023
† zm. 3.11.2023

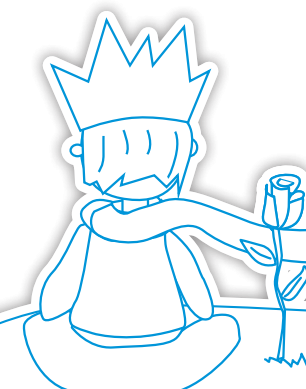
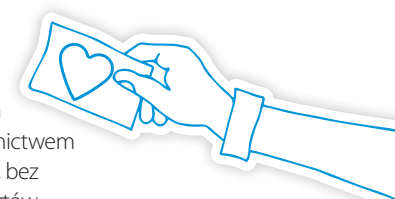
PRZYJACIELE MAŁEGO KSIĘCIA



Instytut Monitorowania Mediów przez 24 godziny na dobę śledzi dla nas polskie media. Dzięki temu Hospicjum wie, kto i jak pokazuje je w środkach masowego przekazu, takich jak telewizja, prasa, radio i internet. Jest to szczególnie ważne w okresie, kiedy Mały Książę zachęca do dołączenia do ludzi o WIELKICH sercach i przekazania na rzecz Hospicjum 1,5% podatku. Dziękujemy!

Szanowni Państwo

W Informatorze Mały Książę znajdziecie blankiet wpłaty, który umożliwia przekazanie dowolnej darowizny finansowej dla Podopiecznych naszego Hospicjum za pośrednictwem Poczty Polskiej na terenie kraju, bez ponoszenia dodatkowych kosztów. Prosimy nie traktować blankietu jako druku opłaty za Informator. Informator otrzymujecie Państwo bezpłatnie jako nasi Przyjaciele.





ZOFIA LICHOTA
lekarz medycyny rodzinnej LHD

POMÓŻ NAM POMAGAĆ!

Przekaż 1,5% podatku
KRS: 000 000 4522



**Lubelskie Hospicjum dla Dzieci
im. Małego Księcia**

Hospicjum perinatalne, stacjonarne i domowe.

www.hospicjum.lublin.pl